

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

3

(Ciąg dalszy).

W tej chwili wyszedł z zamku hrabia Jan. Pierwsze jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem żony. Jakby uderzony obuchem, zatoczył się właśnie w stronę, gdzie stała Wilma. Nachylił się i ucałował ją — kobietę, której nie kochał.

A swojej smukłej, bladej, anielsko pięknej żonie, dla której biło każde uderzenie jego serca, jej — nie mógł się nawet dobrze przypatrzeć, żeby się nie zdradzić.

— To, Janie, moja nowa pokojówka! — zawołała hrabianka. — Mój kuzyn, hrabia Jan Mironeau.

Sklonili się sobie oboje, poczem Jan szybko zbiegł schodami na dół.

Wilma i jej pokojówka poszły do domu.

Było to wieczór między dziesiątą a jedenastą tego samego dnia.

Młoda hrabina znajdowała się właśnie w swoim mieszkaniu, które składało się z dwóch małych, ale ślicznie umeblowanych pokojów. Miała właśnie położyć się do łóżka, kiedy do drzwi ktoś zapukał, zrazu lekko, potem trochę silniej.

— Kto tam? — zapytała Laura, podchodząc ku drzwiom.

— To ja — Jan.

Poznała natychmiast jego głos, jednak namyślała się chwilę, nim go wpuściła. Hrabia wszedł, a Laura zamknęła drzwi napowrót.

Delikatnie, łagodnie, przyciągnął młodzieniec żonę w swoje ramiona i z nieopisanym wyrazem błogiej szczęśliwości patrzył w jej czarowne, jednak jakąś mgłą smutku przesłonięte oczy.

— Lauro, mam ci coś powiedzieć — rzekł przyciszonym, nieco drżącym głosem. — Okoliczności nie pozwalają mi na razie nazwać cię publicznie moją żoną, a nawet zmuszają mnie do tego, abym się z Wilmą zaręczył. W tych dniach ma się właśnie odbyć ta komedia zaręczyn.

Młoda hrabina wyrwała się z jego objęć.

— Nie, Janie, z hrabianką Wilmą nie możesz odgrywać podobnych komedii — mówiła z zapartym oddechem. — Ona jest zanadto dobra, zanadto szlachetna i — ona zasługuje na to, ażeby przez miłość była szczęśliwą.

— Ale, moje ty kochanie najśłodszego, żoneczko ty moja jedyna, ja się ciebie nigdy nie wypnę, nigdy, słyszysz? Nigdy!

Podniósł rękę w górę, jakby przysięgał.

Laura czuła, że każda komórka jej serca lgnie do tego pięknego, rycerskiego mężczyzny a jednak — chciała, postanowiła, musiała się uczuciowi oprzeć. W duszy jej szalała burza, która ją przyprowadziła o utratę zmysłów. Ciężko westchnawszy, opadła na krzesło.

W tej chwili na wieży zamkowej wybiła jedenasta.

— Muszę teraz jechać do miasta, aby powitać mojego kolegę, który tu przybywa z Paryża — rzekł hrabia. — Bądź zdrowa najdroższa i śnij słodko, śnij o twoim Janie!

Złożył na jej różowych ustach długi, ognisty pocałunek i wyszedł.

Hrabina zamknęła starannie drzwi i udała się do sypialni.

Tam wisiał na ścianie stary obraz, przedstawiający Chrystusa na krzyżu. Przed nim upadła na kolana i wyciągnęła ręce błagalnie ku boskiemu Zbawicielowi.

— O mój ty, do krzyża przybity, Zbawicielu, spojrz łaskawym wzrokiem na mnie biedną, nieszczęśliwą kobietę! Bądź ty mi pomocą w mem opuszczeniu! Okryta hańbą swoich własnych rodziców, muszę rzec się wszelkiego szczęścia na ziemi — i ja chcę to uczynić, chcę — a Ty, boski pocieszycielu — dodaj mi sił — do wytrwania!

I kiedy teraz, zalana łzami, przycisła swe spieczone wargi do ran ukrzyżowanego, w duszę jej spłynął pokój i pocieszenie i zdało się jej, że słyszy głos Zbawiciela, mówiący do niej:

— Niewinnie cierpisz, moje dziecko! Jednak wytrwaj cierpliwie! Walka twoja skończy się tryumfem zwycięstwa.

Podniosła się z kłeczek dziwnie wzmocniona. Położyła się do łóżka i wkrótce łagodny sen zamknął jej znużone powieki. Wprawdzie znajdowała się w domu człowieka, który chociaż jej nigdy nie

widział, godził na jej życie — jednak dobry anioł rozpostarł nad nią swe opiekuńcze skrzydła i pod ich osłoną zasnęła spokojnie, pod opieką Boga.

V.

Zamek myśliwski Preneste.

Dziko romantyczna jest okolica, w której się wznosił zamek Preneste. Zamek ten sięgał, jak się zdaje, zamierzchłej przeszłości. Rozrzucone w szczególny sposób kopuły i wieżyczki, baszty i przymurówki, które prawdopodobnie miały służyć ku ozdobie gmachu, dzisiaj już mocno zębem czasu drąsnięte, odrapane i poniszczone, padną w niedługim chyba czasie pod naporem wichrów, którym się setki lat skutecznie opierały. Prastare, garbate drzewa stoją jakby jakieś przedpotopowe olbrzymy około zamku, a kiedy w ciemnej nocy wicher zawyje, w gałęziach i listkach ich słychać, zdaje się, głosy duchów, pełne skarg i boleści. Lecz zamek i całe jego otoczenie, to jakby jakiś cmentarz, jakieś dziwne a straszne miejsce, gdzie wszystko wymarło. Kiedy zbłąkany wędrowiec zabłądzi czasem w ten tajemniczy ostęp, ucieka przerażony, jakby go tysiąc szatanów gnało, tembardziej, jeżeli jeszcze czasem zobaczy w jednym z okien zamkowych jakie światło.

W całej okolicy nikt nie wie, że zamek ten, któremu lada chwila grozi ruina, jest zamieszany. A przecie mieszka w nim kasztelan, który od niepamiętnych już czasów w tem cichem żyje od ludzi.

Stary Marcin, ośmdziesięcioletni starzec, mieszkawiec tego zamku, jest zresztą sam już ruiną. Świat o nim zapomniawszy, mało kto go zna, żyje tylko dla siebie i dla swych potrzeb, zresztą bardzo skromnych.

Cicha noc letnia, pełna czarujących wdzięków i uroków, owineła śpiący świat.

Stary kasztelan powrócił właśnie z wycieczki. Stękać z utrudzenia, złożył na ziemi naładowany kosz i zaświecił lampę. Zrzucił bluzkę i kapelusz i położył się na kanapie.

Głowa jego, pokryta zaledwie kilkoma, białymi jak śnieg włosami, z pergaminową twarzą, a w niej głęboko zapadłymi oczyma, wydawała się jakąś trupa czaszką, w którą nieznane, tajemnicze siły wlały iskrę życia i kazały działać zmysłom.

W młodości był Marcin prawdopodobnie silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, bo i teraz jeszcze, pomimo tak podeszłego wieku, nie można było u niego zauważyć starczej niedołężności.

— Ja żyję w naturze, z naturą i podług natury i natura to daje mi tę rzeźkość i wieczną młodość.

Tak zwykł mówić kasztelan z Preneste, ile razy go kto zapytał, jakim środkiem zawdzięcza ten swój długi wiek.

Odpocząwszy kilka minut, zabrał się Marcin do rozpakowania kosza. Przykłęknął i wydobywał zeń rozmaite przedmioty. Okazało się, że to były same środki spożywcze. Było też tam i kilka flaszek, prawdopodobnie z winem i wódką.

Ułożywszy wszystkie zapasy, jakie przyniósł, w szafce, nałożył sobie fajkę, zapalił i położywszy się napowrót na kanapie, puszczał kłęby dymu i śledził je oczyma.

Że przytem mózg jego pracował, o tem świadczyły błyski jego oczu i słowa, jakie od czasu do czasu wylatywały z jego bezzębnych ust. A nie były to myśli pogodne, bo starzec rzucał się, ruszał ramionami, a od czasu do czasu słychać było, jak rzucał przekleństwa.

Tak minęło może z półtorej godziny.

Wtem w jednym rogu pokoju poczęło coś brzęczeć i dźwięczeć; to stary zegar kurantowy wydzwaniał północ.

Starzec odłożył zimną już fajkę na stół i podniósł się.

— Już czas — rzekł; podszedł do szafy, otworzył ją i rozpoczął jakąś dziwną czynność.

Napróżd napełnił winem małą flaszkę, potem wyjął trochę ze swoich zapasów do jedzenia i zapakował to do małego koszyczka.

Potem wdział długi, wygodny płaszcz, zapiał go aż pod szyję, łysą swoją czaszkę nakrył ciepłą czapeczką, a w końcu zapalił małą ręczną latarnię. Zdjął z gwoźdźca wielki klucz, schował go do kieszeni i zabrawszy latarkę oraz koszyczek z wiktuałami, opuścił pokój.

Wlokąc się powoli, przeszedł przez kilka korytarzy, zszedł na schody, prowadzące do piwnicy, za pomocą zabranego klucza otworzył drzwi i znalazł się w podziemiach zamku.

Były to nieprzyjemne miejsca, te obszerne, skle-

pione chodniki i piwnice, do których nawet w najjaśniejszy dzień nie przedostawały się promienie słońca.

Marcin przeszedł przez kilka takich ciemnych korytarzy i stanął wreszcie przed drzwiami, które, jak się zdawało, prowadziły do osobnego jakiegoś przedziału. Małym kluczykiem odemknął kłódkę, otworzył drzwi i wszedł do wnętrza. Była to nieduża piwnica, ale urządzone jakby mieszkanie człowieka. Stał tam stół i krzesło, a w głębi widać było tapczan.

Położył koszyczek na stole, podszedł do łóżka, podniósł latarnię i oświecił nią jeszcze młodocianą, bladą postać kobietę, leżącą z zamkniętymi oczyma. Płaska jej pierś ledwie się podnosiła i można było wziąć za umarłą, gdyby nie pewne oznaki, które zdradzały, że w tej bezsilnej postaci jest jeszcze jakaś iskra życia.

Marcin pociągnął ją za ramię i zbudził. Otworzyła oczy.

— Przyniosłem ci znowu posiłek — rzekł stary, patrząc na nią zimnymi oczyma.

Leżąca poruszyła się i zmęczona usiadła na łóżku. Poruszała wargami, z których jednak nie wydobywał się nawet szept.

Marcin wziął flaszkę z winem i dał się jej napić.

— To orzeźwia i dodaje sił — rzekł. — W niewoli nie jest ci znowu tak źle — dodał pocieszająco — i jeżeli się tylko przyzwyczaisz do samotności, to będziesz nawet zadowolona ze swego losu.

Klara — nieszczęśliwa ta była bowiem dawną pokojówką Wilmy — podniosła ręce ku niebu.

— Wielki Boże! — zawołała — więc jeszcze długo mam być w tej niewoli?

— Tylko tak długo, dopóki nie umrzesz, ani minuty dłużej — drwił starzec.

— Cóż ja jednak za zbrodnię popełniłam, że mnie tu jak jakie dzikie zwierzę zamknięto w ten ciemny loch?

Marcin wzruszył ramionami.

— Nie tylko dzikie zwierzęta — rzekł — ale i ludzie, którzy widzą upiory, mogą być niebezpieczni i trzeba ich zamykać.

— A, zgaduję teraz! Więc ten upiór, którego widziałam w zamku hrabiego...

— Miał krew i ciało — przerwał jej Marcin.

— To była Amerykanka! — ciągnęła dalej Klara — ta nieszczęśliwa kobieta, o której ludzie sobie po cichu opowiadają, że ją hrabia Mironeau trzyma gdzieś w więzieniu.

— No, no, jakieś ty naraz zmądrzała! Jakaś ty sprytna! — rzekł Marcin, grożąc jej palcem.

— Jeżeli kto widział to, co ja owej nocy ujrzałam, to musiał przyjść do przekonania, że ta wieść, chodząca wśród ludu, o zaginionej hrabinie-milionerce, nie jest bynajmniej czczą bajką.

— No tak, historia o zniknięciu hrabiny nie jest wcale bajką i dlatego właśnie osadzono cię tutaj, ażebyś nie rozgadywała o tem, żeś widziała upiory, bo mogłoby to spowodować bardzo złe skutki.

Nieszczęśliwa chwyciła się oboma rękami za głowę.

— Wszechmocny Panie, co za tyranstwo, co za nieludzkość! — wołała zdławionym głosem. — Ofiara wścieklej żądzy złota gnije tam gdzieś w lochu zamkowym, a mnie czeka tensam los!

— Już cię nie czeka — syknął Marcin — dopóki żyć będziesz, pozostaniesz tutaj i już nie będziesz nigdy wolnem oddychać powietrzem.

W oczach Klary błysnęły ognie.

— Jest jeszcze Bóg w niebie, a on nie ścierpi takiej o pomstę do niego wołającej niesprawiedliwości — zawołała głosem, który krew ścinał w żyłach.

Marcin odszedł kilka kroków od łóżka i parzył na nieszczęśliwą szyderczym wzrokiem.

— Teraz jest północ — rzekł — musisz więc trochę głośniejszy krzyczeć, jeżeli chcesz, ażeby cię twój Bóg, który teraz z pewnością śpi jak kamień, wysłuchał.

— Nędzny szyderco, ty, co słyszysz za narzędzie w ręku zbrodniarza, ja ci powiadam: drzyj przed zemstą Wszechmocnego, bo On ciebie wraz z twym panem zbrodniarzem mecą swojej karzącej prawicy zmiażdży może i zmiażdży cię kiedyś!

— Masz jadowity język, jak żmija — drwił stary, idąc ku drzwiom. — Ale cierpliwości! Z czasem i tobie tutaj język skołceże.

Z temi słowy wyszedł z piwnicy, w której rozlegały się skargi nieszczęśliwej i zamknawszy starannie drzwi, powrócił tą samą drogą, którą przyszedł, do swego mieszkania.

Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy z podwó-